WYGWIZDANIE AKTORA.

(przez Achille Denis.)

Dla tych wszystkich, którzy lubią teatr i artystów, znajduje się w wspomnieniach, złączonych z wielkiém imieniem dramatyczném, poezya i interes pełne przyjemności. Miło nam poznać wszystkie owe poufałe szczegóły życia wielkiego artysty, miło poznać to wszystko, co towarzyszyło jego sławie i jego cierpieniom. W sztuce teatralnéj złudzenie tak prędko przemija, szalone upojenie tryumfu tak szybko znika! sławę, ten pył złoty, najlżejsze tchnienie zdmuchnąć zdoła. Malarz lub pisarz zostawia przynajmniéj po sobie nieśmiertelny pomnik swego geniuszu, aktor zaś, tylko imię i wspomnienie, które czas zagładza. Przypominajmy więc imiona tych, którzy idą w zapomnienie; mówmy o ich sławie, mówmy o ich dolegliwościach. Bierzmy artystę w teatrze lub na ulicy, bierzmy go wznoszącego głowę w całéj świetności tryumfu, lub schylonego pod sromotą wygwizdania. — Cóż to znaczy! lecz zawsze mówmy o wielkim artyście. Niech przynajmniéj nasze wspomnienie odniesie się do niego. Dowiedźmy, że nie odmawiamy żadnego rodzaju sławy tym, którzy ją okupili potem swego czoła, poświęceniem i łzami.

Otó jest historya gwizdnienia, które utworzyło wielkiego artystę.

Krytyka, to światło tak długo i tak uporczywie potępiane, krytyka nie była jeszcze nabrała ogromnego rozwinięcia, jakie za dni naszych posiada. Dziś okrutne wygwizdanie, którego tak obawiano się dawniéj, zostało przez krytykę pozbawione rządów, i tak być powinno. Krytyka usprawiedliwia swą naganę, a gwizdanie nikomu nie zdaje sprawy ze swoich czynów. W czasie naszéj historyi gwizdanie panowało w całym swym blasku; boleśnie odzywało się w sercu artysty, gdyż było dostateczną racyą, i każdy człowiek smaku nie miał innego środka powiedzenia tego, co myśli. Gwizdanie było wówczas tak ważną rze-

czą, jak dziś jest nic nieznaczącą. Teraz jesteśmy od niego mniéj więcéj uwolnieni, Bogu niech będą dzięki! Ważność wygwizdania upada w miarę, jak powaga krytyki wzrasta. Artysta już tylko użycza ucha swego radom, surowym niekiedy, ale zawsze użytecznym, i tylko już odbiera nauki pełne zachęcenia i interessu. Prawda zawsze się objawia, lecz w kształcie tak przyjemnym, że ją kochają, i nie lękają się jéj wcale. — Lecz przystąpmy do naszéj historyi.

Ku końcowi ostatniego wieku; zdarzyło się to w teatze małego miasta ***.

Nie znam nic nędzniejszgo, jak artystę, który dzwoniąc zębami, męczy się w owych źle ogrzanych i źle oświeconych ciupach, które w niektórych miejscach zdobią szumném nazwiskiem teatru. Źle spojone deski, wytarte kostiumy, smutne kopcące kinkiety, orkiestra złożona z trzech skrzypców, kontrabasu i klarynetu, które fałszywie grają; ławki, których straszna nagość oko razi, oto jest obraz pewnych teatrów prowincyonalnych. I taki też mniéj więcéj jest widok świątyni, którą poświęcono sztuce dramatycznéj w mieście ***. Co do truppy, która co wieczór bawiła publiczność, łatwo możecie powziąść o niéj wyobrażenie — poważny ojciec ochrzypiały, bezzębny kochanek, trzydziestopięcioletnie *niewiniątko*, zézowata amantka, a reszta w tymże samym guście. Nic smutniejszego, jak ta parodya sztuki; nic okropniejszego, jak widzieć Margrabiego w *Mizantropie* w łatanych sukniach, kokietkę *Celimenę*, ozdobioną okrutnemi pończochami, które żałośnie na około jéj pięknych nóg się kręciły, *Orgona* bez peruki i *Agamemnona* bez diademu — bo wówczas Molier, Rasyn, Kornel zajmowali repertoar; wodwil który teraz wszędzie się wkręca, z pogardą odsyłany bywał do bud jarmarcznych. Mistrzów chciano tylko słyszéć, a aktor jak mógł tak ich deklamował, bez przewodnika, bez rad, podług swego własnego widzi-mi-się, którego nikt nie zrozumiał, z całą swą energią, któréj nikt nie kładł przyzwoitych granic; pojmujecie więc, ile talentów musiało ginąć, kiedy raz wszedłszy na mylną drogę, niemiały przyjaznéj ręki, coby ich na dobry tór zwróciła.

W mieście *** publiczność bardzo uczęszczała na widowiska teatralne; słuchała z największém zajęciem tych pięknych wierszy, które wynurzają tyle szlachetnych uczuć i tyle wielkich namiętności. Nie zbywało też na oklaskach. Publiczność czuła się obowiązaną okazać wdzięczność tym, którzy im dawali poznać tak piękne uczucia. Jeden szczególniéj artysta lubionym był od publiczności; posiadał on i zapał, i żywość i energią, wszystko co czyni wielkiego artystę. Był on ulubieńcem publiczności; wszyscy koledzy zazdrościli mu, i, rzecz szczególna, oklaski, tryumfy, zazdrość, te wszystkie szczęścia artysty, nie zdawały się na nim czynić żadnego wrażenia. Nieraz, po najświetniejszym skutku, po największym tryumfie, widziano go wracającego za kulisy, smutnym, zamyślonym, i prawie bez odwagi. Cały teatr drżał jeszcze od oklasków, a on już starał się zapominać o téj sławie, która, że tak powiem, była dlań natrętną. Artysta zdawał się wątpić o swych wielbicielach i o sobie samym. Możnaby myśléć, że ma do staczania wielkie walki grzmiący głos tłumu, który ogłaszał jego sławę, walczył przeciw wewnętrznemu głosowi, który zadawał fałsz tym okrzykom tryumfu. W artyście istnieją owe cudowne objawienia, które mu wskazują najdziwniejsze tajemnice sztuki. Ten, o którym mówimy, wykształcał w sobie przekonanie, że na mylnéj postępuje drodze, że się oddala od celu, i że będzie zgubiony, jeżeli nie napotka kogo, co zechce podać mu rękę i ocalić go.

Ale gdzież znaleźć tego przewodnika, gdzie znaleźć tego wybawcę, kiedy w około niego byli tylko sami zaślepieni wielbiciele, a ani jeden sędzia? oklaski, któremi go co wieczór obsypywano, brzmiały w jego uszach jak okrutne kłamstwo. Nasz biedny aktor był najnieszczęśliwszym z ludzi i artystów.

Lecz oto co się jednego dnia zdarzyło, w chwili, kiedy się najmniéj tego spodziewano. Nigdy piękniejsze przyjęcie nie spotkało naszego artystę. Zachwycenie doszło do szczytu, deszcz wieńców spadał u nóg naszego bohatyra, gdy nagle usłyszano gwizdanie, ostre i przeraźliwe, rzucone jak piekielna ironia wpośród szalonych uniesień zaślepionego zapału; a w pośrodku

zdumionego tłumu, wygwizdany artysta mógł dojrzyć małego garbusa, z żywą i dowcipną miną, który, stojąc na ławce, gwizdał z upartością, i z niepojętą pewnością walczył przeciw wściekłym oklaskom publiczności.

Zostawiam wam odgadnienie, jakie to było zgorszenie!!!

Niewiem, jak śmiały garbusek zdołał uniknąć gniewu publiczności, z któréj z taką urągał się czelnością; ale to gwizdanie sprawiło na naszym artyście najdziwniejszy skutek. To, czego niedokazały oklaski i brawa, to uczyniło gwizdanie; ten, którego najgorętsze uniesienie czyniło zimnym i nieczułym, wzruszył się na tę energiczną oznakę nagany. Zdawało się mu, że znalazł nakoniec kogoś, co pojmuje jego walki i jego cierpienia artystyczne; znalazł człowieka dość śmiałego, aby zniósł wszelkie jego wątpliwości, aby mu otwarcie i głośno powiedział to, co lękał się sam sobie wyznać. Wrócił tego wieczora za kulissy prawie szczęśliwy, gdyż jakąś niepojętą nadzieję chował w swém sercu. Nie zważał on na śmiechy swoich kolegów, dla których to gwizdanie było zemstą. Artysta jedną tylko miał myśl: zobaczyć tego, który go wygwizdał. Nie mógł on przypuścić, aby ten człowiek działał z innéj pobudki, jak z dzielnego przekonania.—„Zobaczę go, powiedział sobie, wracając do swego skromnego mieszkania; zobaczę go, i być może, że się nie omyliłem!"

Nazajutrz zapukano do jego drzwi: był to mały garbusek.

— Mości panie, rzekł on do artysty; moja obecność u ciebie dowodzi, że nie powinieneś uważać we mnie nieprzyjaciela. Zostałeś wczoraj wygwizdany; pan nawykły do braw i zachwycenia publiczności, zostałeś wygwizdany, wygwizdany przezemnie. Winienem zdać porachunek z téj obelgi, którą mimochętnie panu wyświadczyłem: dla tego też przychodzę najprzód prosić o przebaczenie, a następnie usprawiedliwić się przed nim z mego szczególnego postępku. To, coś pan może uważał za obrazę, było tylko z mojéj strony wysoką oznaką szacunku dla jego

świetnych zdolności artystycznych; lecz dla wzrostu sztuki, lecz dla dobra pana, który jesteś jednym z jéj tłumaczów, powinienem cię był ostrzedz strasznym organem gwizdania, że błądzisz; powinienem cię był ostrzedz, że te oklaski, któremi cię obsypują, są dla ciebie najniebezpieczniejszą skałą. Wygwizdałem cię, panie: przychodzę powiedzieć dla czego....

— Panie, rzekł mu artysta, oczekiwałem cię! Coś mi mówiło, że cię powinienem zobaczyć. Gdybyś nie był przyszedł do mnie, byłbym u niego, gdyż ty sam możesz mi dać rady, których nadaremnie domagałem się od tych, którzy umieją dawać mi tylko oklaski. Błogosławię twoje przybycie.

Tu rozpoczęła się między niemi rozmowa, którą chciałbym powtórzyć. Najpoufalsze tajemnice sztuki rozbierane były z niesłychaną jasnością, ze zdumiewającą wyższością przez małego garbuska, którego artysta chciwie słuchał. Za każdém słowem gościa zdawało się, że gęsta zasłona spada z oczu artysty, że odkrywa nakoniec sztukę, którą przeczuwał, i która tak długo była dlań ukrytą. Rozmowa, zaszła między temi dwiema istotami, nie da się opisać: wszystko co wiémy jest to, że przy końcu tego widzenia się, artysta i mały garbusek rozeszli się bardzo zadowoleni z siebie. Garbusek zacierał ręce, artysta miał łzy w oczach.

Okazałem wam wnętrze teatru w małém miasteczku; opisałem wam tę łagodną publiczność, tak nową dla wrażeń scenicznych, rozrzucającą oklaski, i wieńce; — zwróćcie teraz oczy na scenę nieco wznioślejszą. Dzieje się to w.... Jest to znakomite miasto, które posiada teatr doskonale urządzony. O ile publiczność małego miasta jest słodką i łatwą, o tyle publiczność wielkiego miasta jest twardą, uporczywą, a nawet niesprawiedliwą. Aktor nie może się tu spodziewać ani pobłażania, ani litości, téj ostatniéj jego nadziei. Publiczność przyjmuje dopiero artystów po najsurowszych próbach. Wszystko, co się zbliża do mierności, daleko jest przez nią odpychane; surowa w swoich wymaganiach, niesprawiedliwa w wyborach, które czyni, publiczność wielkiego miasta pro-

wincyonalnego jest trwogą wszystkich artystów, nieuzbrojonych przeciw krzykaczom parteru. Mało potrzeba, aby popaść w niełaskę tego nieubłaganego sądu; i któryż utalentowany artysta nie drżał przed tą publicznością, która z tak okrutną zimną krwią, niszczy byt jego; któryż artysta nie drżał na myśl, że nagroda jego usiłowań i pracy zawisła od chęci lub kaprysów widza!

Wieczór był świetny; grano *Fedrę*; tłum napełniał salę. Dwa pierwsze akty cudnego dzieła Rasyna słuchane były wśród najgłębszego milczenia. W trzecim akcie, za wejściem *Tezeusza*, straszny odgłos gwizdań powitał aktora, który grał tę rolę; ogromny śmiech odbijał się w sali, i stłumił głos artysty; ten zaś usiłował przybrać ile możności największą spokojność.

Jednakże wśród konwulsyjnego drżenia, które przebiegało wszystkie jego członki, można było widzieć, ile duma jego się oburzała na tę niegodną zniewagę. Twarz jego bladła pod okrywającym ją różem, jego rysy się ściągały, a przecież śmierć nosząc w duszy, zniesławiony, zelżony, musiał zachować postać spokojną i obojętną. Krew wrzała w jego żyłach, tracił głowę.... zamilkł, a gwizdanie ciągle trwało..... lecz wpośrodku téj szalonéj burzy, jakiś mały człowiek, którego plecy były dość nieregularnéj struktury, śmiało dawał oklaski, lecz nieszczęśliwy choć używał całéj mocy płuc swoich, dla pomszczenia artysty za zniewagę, którą mu wyrządzano, nic to nie pomagało. Biedak padł na swoje krzesło, osłabiony, w téjże chwili, jak kurtyna zakryła tę smutną scenę, i zasłoniła przed rozjątrzonemi widzami zniewagę artysty, tak nielitościwie prześladowanego..... Tym artystą był ów, o którym wyżéj mówiliśmy; a tym człowiekiem, który dawał oklaski, był mały garbusek, który dawniéj gwizdał.

Oba się poznali.... Oba się widzieli nazajutrz.

Było to szczególne spotkanie. Wyobraźcie sobie artystę przed obliczem tego, którego na oślep słuchał jak mistrza, o którym się nie wątpi, któremu się całkiem oddaje; wystawcie sobie tego, który dał artyście tyle dobrych i użytecznych postrzeżeń, dla

wskazania mu prawdziwéj drogi, w obliczu tego któremu te rady przyniosły tylko zniewagę i wygwizdanie! Osądźcie, jak ów człowiek musiał być pomięszanym w obec tak dzielnego zaprzeczenia swoich przepowiedni.— Artysta pierwszy przemówił:

—Nie czynię ci wyrzutów, panie, rzekł do garbuska; rady twoje były dobre; powiedziałeś mi prawdę; ale patrz, jak smutny skutek! Dawniéj, kiedym bez talentu, publiczność obsypywała mnie swemi łaskami; dziś, dzięki tobie, kiedy sztuka objawiła się memu jestestwu, kiedy pojmuje najskrytsze jéj tajemnice, wygwizdują mnie! Ach! ta myśl rozpacz przywodzi. Jestże więc przeznaczeniem artysty nigdy nie być zrozumianym?

—Panie, rzekł mały garbusek poważnym tonem; masz teraz zbyt wiele talentu, aby pozostać w ukryciu, aby się schylać przed publicznością bez pojęcia i duszy. Twoje życie, aż do téj chwili, dręczone było strasznemi walkami, ciężkiemi męki; jam tego przyczyną; winienem ci więc wynagrodzenie, i w tym celu dam ci ostatnią radę. Jedź do Paryża, tam jest dzisiaj twe miejsce.

Aktor prowincyonalny poszedł za radą swego cenzora. Przybył do Paryża, i wystąpił w *Théâtre Français*. Tym aktorem, był *Larive*.

Co do nazwiska małego garbusa, któremu Francya winną była tego dzielnego artystę, nikt go sobie nie przypomina.

PRZYPADKI
SZTUKI TEATRALNÉJ.

(Powieść humorystyczna, przerobiona z Langera).

(*Dokończenie.*)

Maurycy oburzony schronił się do innéj kawiarni i trafił z deszczu pod rynnę. Tu umawiało się właśnie grono młokosów, aby z całego gardła sykać, dla pomszczenia się na pierwszéj amantce, która na ostatnim

balu nie chciała z niemi tańczyć. Jak Orestes od furyi ścigany, uciekł przed nieszczęsném zgromadzeniem. Przechodząc przed cukiernią, usłyszał głośny śmiech; spojrzał przez szklanne drzwi; goście, zapijając ponczyk, stoją na około jakiegoś człowieka, odbywającego prelekcyą. Ciekawy, coby to było, wszedł do cukierni. Z podziwieniem słucha deklamatora, który z zapałem odczytuje recenzyą. Słucha, i krew coraz bardziéj wre w jego żyłach. Jest to recenzya na jego sztukę— na jego sztukę, która jeszcze nie była przedstawianą! — Drżąc od złości chwyta recenzenta za ramię.

— Co pan tu czynisz? zawołał.

— Mam właśnie mowę pogrzebową! — rzekł recenzent zimno, i powszechny śmiech odpowiedział na koncept. Maurycy zadrżał; zdawało mu sie, że jest Karolem Vtym, który patrzał na swój własny pogrzeb.

— Wiesz pan kto jestem, mości panie?

— Jesteś pan młodym ojcem staréj *Zenobii*, rzekł z uśmiechem krytyk, a ja ów, któremuś przeszłéj jesieni na przechadzce nastąpił na nogę, nie przeprosiwszy go za to. Przysiągłem, że się pomszczę, dzień nadszedł —jutro świat będzie czytał, i będzie pękał od śmiechu! —

Odwrócił się i poszedł, Maurycy uchwycił go za suknią. — Jesteś potwarcą! krzyknął drżącemi usty.

— Skoro pan jutro przeczytasz recenzyą, czekam go za miastem, tam mu odpowiem szpadą, może znajdziesz osnowę do lepszéj trajedyi,—rzekł zimno następca Cerbera i wyszedł. Natychmiast jakiś stary wąsacz zbliża się, ofiarując się za sekundanta, a chmara gości śpiesznie opuszcza cukiernię, aby tę nowinkę po mieście roztrąbić.

Coraz bliższą jest godzina przedstawienia, i w miarę posuwania się indexu wzrasta obawa biédnego poety. Z ostatniemi chwilami skazanego, które zręczne pióro Wiktora Hugo tak okropnie opisało, porównaćby można chwile autora przed rozpoczęciem jego sztuki. Okrywa się płaszczem, dobrze otulony wchodzi do przepełnionego teatru i staje w kącie, aby nieznanym i niepostrzeżonym być na reprezentacyi. Daremnie! furya niepewności pędzi go do orkiestry.

z któréj go ruguje strojenie instrumentów; leci do garderoby, gdzie straszliwie pomalowane twarze, wyrachowane na optyczną ułudę, obrażają jego estetyczne czucie, aż nareszcie zabiéra miejsce za kulisami.

Muzyka się zaczyna, kapelmistrz obrał prześliczną symfonią Beethovena, ale Maurycy nic nie słyszy, tylko bicie swojego serca. W tém kortyna idzie do góry, śmiertelna cisza rozlega się po teatrze, a poetę zimny dreszcz przenika. Monolog intryganta, w którym zawierała się expozycya, rozpoczął sztukę. Pierwsza połowa szczęśliwie przepłynęła, lecz w tém potknęła się *Melpomena*, i wiersz:

Niech hufiec słoni na pole pospiesza!

wymówiony został tak fatalnie, że tylko wyraz *słonina* obił się o uszy publiczności. Głośny śmiech był bezpośrednim tego skutkiem; jakiś nieproszony przyjaciel krzyknął *cicho!*—co jeszcze bardziéj powiększyło nieład, i tym sposobem przepadł cały monolog, na którym poeta tyle zakładał.

W tém, otoczona świetnym orszakiem, weszła *Zenobia*, i wnet wszystkie lorynetki i perspektywy się wzniosły. Przedstawiła się w przepychu Azyatyckim i w modnéj Paryzkiéj szemizetce. Królowa hucznemi oklaskami została powitaną. Prześliczna! wołali mężczyzni w zapale, i nie mogli się nacieszyć jéj widokiem.—To jest ostatni krój Paryzki! wołały damy, i uwielbiały szemizetkę. Poeta, który w próżności przypisywał wściekłe oklaski swoim wierszom, wciągał w siebie z upodobaniem kadzidło, nie widząc miecza Damoklesa, który groźnie wisiał nad jego głową.

Jeszcze teatr drżał od oklasków, towarzyszących odejściu Zenobii, gdy wszedł na scenę ów artysta, który miał deklamować wykreślony monolog. Zaczyna pompatycznie i z ogromnemi akcyami, ale już w szóstym wierszu opuszcza go niewierna pamięć, jak Tezeusz Aryadnę. Spogląda na ratującą budkę, lecz sufler, którego był obraził, i który widział teraz nadchodzącą godzinę zemsty, zażył w fatalnéj chwili tabaki, i zamiast wierszy podaje mu otwartą tabakierkę. Artysta kaszle, wymawia kilka przekręconych wyra-

zów; poeta za kulissą poci się, jakby stał na rozpalonych węglach; śmieją się, sykają, a klaskaczy nie ma, gdyż nierozsądny wzgardził ich pomocą! Nareszcie Adolf i przyjaciele przywrócili spokojność; artysta tymczasem zebrał przytomność, i przy pomocy suflera, który na tém poprzestał, dokonał ogromnego dzieła.

Aby go wybawić, występuje dowódzca w wschodnim przepysznym stroju. Wszyscy cieszą się gustownym kostiumem, lecz wnet jeszcze bardziéj ulubionym jego mopsem, który niepostrzeżony pobiegł był za swoim panem z garderoby na scenę.

Podaj mi rękę, stawmy czoło losom —
Tak, przyjacielu, oprzem się ich ciosom! —

deklamuje z zapałem. W tym nieszczęsny *Filuś*, sądząc, że pan do niego tak łaskawie przemawia, skacze na zdumiałego artystę, i uprzejmie kręci ogonkiem. Niewstrzymany śmiech rozległ się po teatrze, omal się filary nie zatrzęsły. *Melpomena* odwróciła swą poważną twarz, i trajedya bez ratunką była zgubioną!

Tu już poeta stracił przytomność. Przeklinając muzy, aktorów i mopsów, z odkrytą głową pędził przez ulice. Ciągle słyszy w około siebie okropny śmiech galeryi; co mu się zdawał być śmiechem czartów; odwraca się; z przerażeniem widzi się ściganym przez uliczników, pod dowództwem recenzenta, który wymierzał doń długą szpadę, na któréj jak wróblami kilku aktorów i poetów było naszpikowanych. Ze wszystkich okien, od góry do spodu, wyglądały śmiejące się twarze, z rozdziawionemi usty i nabrzmiałemi policzkami; Zenobia i cały *Corps-de ballet* pędził w około niego na dzikich koniach jak piekielne łowy.... dreszcz śmiertelny przebiega jego członki — traci zmysły... i pada bez duszy.

III. Epilog.

Głośny śmiech obudził marzącego! — Jeszcze bez przytomności spojrzał w około, wytarł rozespane oczy, i nie mógł nic z tego pojąć, co się na około niego działo. Mopsy, uliczniki, recenzent, Zenobia i szemizetka znikły bez śladu, i ujrzał się w dobrze znanym ogrodzie pod lipą, otoczony latarkami, służącemi i mieszkańcami domu.

— Gdzież jestem? — szepnął przebudzony. — Z obłoków świata poetycznego spadłeś kochańciu w rzeczywistość, rzekł Adolf. — A Zenobia? — a pies? — a recenzet? — Mój Boże! On ma pomieszane zmysły! — odezwała się przestraszona Paulina, jego narzeczona. Zdaje mi się, że nawet we śnie komponuje swoje przeklęte komedye! zawołał ojciec Pauliny z gniewem. — A ty mój Adolfie, byłżeś w teatrze? czy widziałeś, jak się obchodzono z twoim biednym przyjacielem? Nie mogę się już teraz na ulicy pokazać, ludzie palcami mnie wytykać i w oczy śmiać mi się będą. — Ale zastanówże się kochany Maurycy, odrzekł przyjaciel; co ci się śniło, do *licha!* — Zdziwieni że tak długo dajesz na siebie czekać z wieczerzą, rozmyślaliśmy właśnie, coby cię ważnego mogło zatrzymać, gdy wtém wchodzi ogrodnik, i donosi, że zabierając się do zamknięcia furtki, zastał cię uspionego pod lipą. Spałeś jednak tak niespokojnie, i mówiłeś przez sen tak straszliwym sposobem, że cię uważał za chorego, i przybył nas szybko uwiadomić, poszliśmy wszyscy po ciebie, i oto zastajemy cię w jakichciś poetycznych marzeniach.... — Zatém *spałem?*... to mi się tylko *śniło?* I te okropne obrazy tylko we śnie przeszły przez mój umysł. Dzięki wam Muzy, idę za waszą przestrogą; nigdy już nie wyciągnę ręki po wawrzyn Melpomeny, i nigdy nie będę kapłanem w świątyni Talii. Oto Paulino, rzekł daléj, rozdzierając plan trajedyi, który leżał jeszcze przed nim na stole i składając go w ręce miléj dziewczyny; — masz oto wyznanie duszy dramatycznéj! Za jedno pocałowanie pięknych ust twoich, oddaję wszystkie te bezecne ramoty!

EUGIENIUSZ SCRIBE,

Szkic biograficzny.

I.

Scribe (Augustin Eugieniusz) następca zmarłego P. Arnoult w Akademii francuzkiéj, najpłodniejszy i jeden z najdowcipniejszych pisarzy drammatycznych francuzkich, urodził się

w Paryżu 24 Grudnia 1791 r. — Rodzice jego, którzy zajmowali się handlem, czuwali nad staranném wychowaniem, które w Paryzkiém Kollegium Stéj Barbary odebrał. Zaledwie miał lat 15, gdy śmierć ojca i matki samotnym go zostawiła na świecie z dość szczupłém dziedzictwem. Opiekun jego, P. Bonnet (obrońca Jenerała Moreau) chciał go nakłonić do oddania się naukom prawnym, ale młody Scribe nieprzezwyciężonym przejęty wstrętem ku temu powołaniu, zupełnie inną obrał sobie drogę.

W r. 1811 (miał wtedy lat 20) uprosił sobie Dyrekcyą Teatru przy ulicy *Chartres* położonego, że zezwoliła na przedstawienie pierwszéj jego próby *Les Dervis*, wodewilu w jednym akcie, napisanego w spółce z panem *Germain-Delavigne*, przyjacielem szkolnym, a następnie jednym z najczynniejszych spółpracowników Scribego. Sztukę tę, dosyć mierną, zimno przyjęła publiczność, pomimo tego jednak *Barré* ówczesny Dyrektor Teatru wodewilów, zachęcał poczynających autorów do dalszéj pracy, nie szczędząc rad i przestróg, z których oni umieli korzystać.

Do r. 1816 w tym Teatrze i w Teatrze *Rozmaitości* przedstawiono kilka sztuk p. Scribe, które powoli zwróciły na niego uwagę powszechną. Nieco przed tém wodewil wyrodził się zupełnie, zamiast niego widziano tylko szkice i parodye, których śmieszność była jedyną zaletą. Wówczas, i to za popędem pana Scribego, podniósł się ile możności i zbliżył się do komedyi. Zachęcony w swojéj dążności, p. Scribe, przez usilną pracę, zapał i cierpliwość niepospolitą, utorował sobie drogę do wielkiego majątku, pięknéj reputacyi, nader szczytnego położenia w społeczeństwie, co wszystko w jednym dniu osiągnąć się nie da.

Od 1816 r. zaczęła się dopiero dla naszego autora epoka pomyślności coraz wzrastającéj i która go dotąd nigdy nie zdradziła. Niedawno pewien proces księgarski odkrył nam ciekawe szczegóły objaśniające bieg postępowy majątku i pomyślności pana Scribe. W r. 1812 jedna z pierwszych sztuk p. Scribe kupioną była za 100 franków, wypłacalnych książkami; w r. 1816 za sztukę *l'Ecole du Vill...* dostał 150 fr.; Komedyo-opera *Hrabia Ory* przyniosła mu 400 fr.; w r. 1818 *Odwiedziny w Bedlam* zakupiono za 400 fr.; w r. 1822 *Walerya* już 3000 fr. przyniosła, a w r. 1833, 4500 fr. dano panu Scribemu za komedyę *Bertrand i Raton*. W tym roku wpływy autorskie pana Scribe wynosiły już summę 148,000 fr.

W téj epoce (w r. 1816) zjawiło się kilka sztuk jego, które niezwyczajne zyskały powodzenie; między innemi *Hrabia Ory*, *Noc gwardyi narodowéj*, *Nowy Pourceaugnac;* ostatnie w towarzystwie pana *Delestre-Poirson*. Powodzenia te sprawiły, iż imię jego coraz jaśniéj z grona spółpracowników występowało i pozyskały mu przewagę literacką, z któréj umiał

należycie korzystać naprzód dla siebie, a następnie dla kolegów swoich od których się nigdy egoistycznie nie wyłączył, pomimo plotek i fałszywych wieści które się w tym przedmiocie o nim rozchodziły i rozchodzą. I tak, widząc że wynagrodzenia autorom dotychczas arbitralnie przez Dyrektorów naznaczanemi były według nazwiska i sławy autora, doprowadził p. Scribe do skutku założenie *Stowarzyszenia dramatycznego*, mającego na celu opiekowanie się prawami stowarzyszonych, przychodzenie w pomoc cierpiącym, ratowanie nieszczęśliwych: jakoż nieraz wdowy po ludziach zasłużonych w literaturze, ich rodziny w niedoli, znalazły w kassie stowarzyszenia wsparcia o któreby zapewne na próżno do drzwi możnych kołatali.

W r. 1820 pan Scribe będąc autorem około 60 sztuk już to przez siebie samego, już w towarzystwie spółpracowników napisanych, ugodził się z Dyrektorem Teatru *Gymnase-dramatique* i powoli, prawie wyłącznie, przywiléj autora tego teatru sobie zapewnił.—Przez 17 lat, uprawiany przez pana Scribe i liczny szereg jego spółpracowników, Teatr *Gymnase-dramatique* prawdziwie bujnie zakwitnął i złote wieki przypomniał ogromem, a zwłaszcza powodzeniem sztuk które tam wystawiano. Ogół sztuk, które pan Scribe dla tego teatru napisał, lub w napisaniu których miał udział, przechodzi 100, pomimo że w tym samym czasie i dla innych teatrów pracował.

Liczba ta może być uważaną jako dowód płodności wyobraźni pana Scribe, czy też jako proste, zwyczajne *factum*? Pojmie każdy, że spółpracownictwa w takim ogromie nie czczy mają udział. Jednakowoż i to jest rzeczą niewątpliwą, że co się tycze ilości i ważności tego spółpracownictwa, wiele osób, nienawiścią zapewne powodowanych lub znających p. Scribego jedynie z nazwiska, a nieumiejących sobie wytłómaczyć nagłego postępu jego majątku i sławy, fałszywą powoduje się opinią, zbyt wielu znajdującą zwolenników jakoby imie tego płodnego pisarza jaśniało na czele wielu sztuk jedynie jako narzucona opieka, jako cło które autorowie opłacać powinni zanim ich sztuki mogą być wystawione w Teatrze bulwaru *Bonne-Nouvelle*, którego p. Scribe uprzywilejowanym i wyłącznym był autorem.

Ktokolwiek zna osobiście pana Scribe, przekonał się najdowodniéj, o ile to oskarżenie jest niesłusznem i potwarczém. Pan Scribe zobowiązał się był kontraktem dostarczać Teatrowi *Gymnase* corocznie sztuk 12. Rzeczą jest oczywistą, iż jego wyobraźnia, jakkolwiek płodna, tylu nowym pomysłom wydołać nie mogła. Znaczną liczbę sztuk nadesłano mu: jest to *factum* niezaprzeczone; ale rzeczą jest niemniéj pewną, iż żadna z tych sztuk z rąk jego nie wyszła bez ogromnych

modyfikacyi, częstokroć tak mocno zmieniających naturę dzieła, iż autorstwo pana Scribe najmniejszemu zaprzeczeniu uledz nie może. Tę jeszcze w końcu dodać można uwagę, iż we wszystkich sztukach imieniem pana Scribego ozdobionych cechy charakterystyczne jego talentu jasno się pokazują. To samo w nich dyalogowanie żywe, dowcipne, rozjaśnione licznemi zarysami prawdziwie francuzkiéj wesołości; ten sam kunszt wzbudzania interessu bez zaszkodzenia komiczności, taż intryga jasna, choć często kunsztownie powiązana, jedném słowem, i bez zaprzeczenia, wszystkie zalety i wady któremi odznaczają się sztuki pana Scribego bez spółpracownictwa napisane. W odpowiedzi p. *Villemain* na mowę którą p. *Scribe* miał w gronie akademii w dniu swego przyjęcia, napotykamy zdanie w myśl naszę trafiające: „Bez spółpracowników nie byłby, jak się zdaje, autorem ty- „lu sztuk, ale bez niego, sztuki te, niezawodnie byłyby się „niepowiodły." Zdanie to jest zasadą jedynie prawdziwego systematu, jakiego trzymać się należy w sądzeniu o sztukach, na czele których znajdujemy imie pana Scribe, obok imion jego spółpracowników. Nie tak łatwą byłoby rzeczą obronić pana Scribe w zarzucie monopolium, jaki na Teatr *Madame* i *Gymnase* rozciągnął. Wielu autorów, wiémy o tém, nieużywających przywileju spółpracownictwa z panem Scribe, uledz musieli warunkom przez niego nałożonym, chcąc by ich sztuki były wystawionemi. P. Scribe słynie z tego że bardzo lubi pieniądze i że zbyt często w swoich literackich stosunkach wzgląd kunsztowy, kieszeniowym pożytkom podległym czyni. Jakkolwiek bądź, rzadko kiedy, człowiek wzbogacony, tak dobry czyni użytek, jak on z nabytego majątku, i wielu nieszczęśliwych wspartych przez niego w potrzebie może mu przyznać tę cnotę.

II.

W pierwszéj epoce swoich powodzeń dramatycznych, to jest do r. 1821, p. Scribe pisal prawie jedynie dla Teatrów drugiego rzędu; od téj jednak chwili, właśnie gdy obowiązywał się zasilać repertoryum Teatru *Gymnase*, zaczął się także pokazywać i w Teatrze *Opéra Comique*, w którym, jeszcze w r. 1813 sztuka jego: *Pokój sypialny*, przedstawioną została. I tam kilku spółpracowników za nim zdążyło, a mianowicie pan *Germain-Delavigne* i wierny jego Pilades, p. *Melesville*.

Zjawił się był w *Théâtre français* w końcu 1822 z *Waleryą*. W roku 1827. grano tamże jego *Małżeństwo z pieniędzy*. Dwa te ostatnie Teatry odegrały najwięcéj samodzielnych, wyłącznych sztuk p. Scribego i tam też najlepiéj o jego talencie sądzić można było.

Opera, uważana przez pana Scribe jako szczyt kompozycyi teatralnéj, do któréj podniósł się najgłówniéj w r. 1828, już

teraz mało liczy powodzeń któreby jego wyłącznem nie były dziełem. Pominąwszy kwestyę pieniężną o którą dyskussya przez krytyków niejednokrotnie była wszczynaną ze względu na monopolium które płodny nasz pisarz na oba Teatry liryczne rozciąga, pominąwszy czynione mu zarzuty ze strony niedołężności pomysłów i braku poezyi, powiemy i przyznamy, że niezaprzeczoném jest jego wysokie pojęcie, wysokie znawstwo, kunsztowne prowadzenie sceny lirycznéj.

Jeżeli się teraz zajmiemy spisem sztuk które p. Scribe ozdobił swojém imieniem, bez względu na to, czy ojcostwo było zaprzeczaném, lub nie, znajdziemy 183 wodewile, 7 dram i melodram, 32 opery komiczne aż do *Czarnego Domina* (włącznie), 10 komedyj, 14 oper albo baletów, co w summie wynosi 246 sztuk wydrukowanych, do czego przyłączyć jeszcze należy sztuk 36, które drukowanemi nie były. Z tych, *czterdzieści* tylko bez żadnéj spółpracy napisanych. Niestety! przyznać musiemy, że rozpaczając czasem o możności dostarczania rocznego kontyngensu, pozwalał sobie p. Scribe cudze pomysły własnością swoją czynić. Nie był spółpracownikiem pana Scribego *Teodor Leclerq*, autor bardzo cenionych we Francyi *Przysłów dramatycznych*, a przecież nie wahał się p. Scribe niedrukowane jeszcze sceny jego pod napisem: *le Conseiller d'une femme*, które przypadkiem widział grane na Teatrze prywatnym, zlać w sztukę swojego niby utworu pod tytułem: *le Confident.* Szeroko o tem pisze p. *Quérart* w piśmie *la France littéraire.*

Cóżkolwiek bądź, rzeczą jest niezawodną iż większa część sztuk pana Scribe nie jest koniecznie utworem jego imaginacyi, a nawet łacno możnaby wskazać źródła, z których pan Scribe zaczerpnął swoje pomysły. Mówiliśmy już o przysłowiach p. Leclerq. Któż nie pozna, że *Małżeństwo z rozsądku* wziętém jest z romansu *Karolina Lichtfield.* W ogólności wodewile jego wzięte są ze znacznéj liczby powieści starych i nowych, których nawet rozmowy nieraz zachować p. Scribe za rzecz uznał stosowną. Jedném słowem, od początku swojego zawodu literackiego aż do dnia dzisiejszego pan Scribe nie tylko dowcipnym pisarzem, ale i zręcznym układaczem dramatycznym pokazał się.

P. Scribe zapewne z namowy jakiego księgarza ogłosił zupełny zbiór swoich dzieł dramatycznych. Z liczby 147 sztuk zawartych w tym zbiorze, znajduje się 109 pisanych w spółce, byłoby przeto rzeczą stosowniejszą zbiór ten nazwać Teatrem p. Scribe i jego spółpracowników. Ale nasz dowcipny pisarz, usiłując tym sposobem massę powiększyć, raczéj jako spekulant niż jako pisarz własnéj sławie przyjazny sobie postąpił. A gdyby komu z panów *Melesville*, *Bayard*, *Vorner* lub tylu innych zachciało się kiedy dzieła swoje wydać, możeby nie

znalazł księgarza chcącego zapomnieć iż wszystko to już było drukowaném, oprócz przypisania „*Panu Scribe spółpracownikowi swojemu*," któreby wywzajemniając się, mógł dodać.

Nie ograniczył się pan Scribe w ciągu swego zawodu literackiego pisaniem sztuk teatralnych, jest także autorem wielu ulubionych pieśni (*romances*), jako to: *Bukiet balowy*, *Gdybyś ty mnie kochała* i t. d., i t. d. Do tego należy także przyłączyć różnoczasowe przypadkowe strofy, dowodzące jak dalece p. Scribe umiał się do okoliczności stosować.

Oprócz powyższych prac dla sceny i dla władz kolejnych, umieszczał p. Scribe dowcipne artykuły i powieści w księdze Stu i jednego (*livre des Cent-et-un*) i w *Revue de Paris*.

Oto jest p. Scribe aż do dnia dzisiejszego, uważany jako literat.

Przypisek Redakcyi. Do umieszczenia biografii p. Scribe spowodowała nas jedynie ogromna popularność tego pisarza. Z żalem uznajemy iż ta jego popularność iest może jedną z głównych przeszkód tamujących rozwijanie się literatury dramatycznéj za obrębem Francyi; tego także trudno nie widzieć że monopolium komiczności jakie p. Scribe na gust całéj Europejskiéj publiczności nałożył, fałszuje jéj pojęcia i upodobania do tego stopnia iż dziś, w ogólności, świetna płytkość dwuznacznościami ubarwiona, większe nierównie sprawia wrażenie niż prawdziwy i głęboki kunszt komiczny. Wszakże, by uniknąć zarzutu stronności, musiemy dodać że tak w sztukach tych, które p. Scribe sam utworzył, iako też w tych, którym imienia swego i piora, cząstkowo tylko, w towarzystwie spółpracowników użyczał, widać niepospolitą giętkośc i, że tak rzekę, ruchliwość umysłu; odbiia się w nich dość wiernie obraz teraźniejszéj społeczności Paryzkiéj, a zręczne i żywe dyalogowanie, obok mniéj więcéj oryginalnego i szczęśliwego wikłania intrygi i dowcipów nieraz trafnych, mogą im nawet czasem nieco trwalsze zjednać zalety. W końcu uwagę naszych czytelników musiemy na to zwrocić, iż autorem téj biografii jest Francuz, rodak pana Scribego.

ANEGDOTKA TEATRALNA.

Chassé, sławny aktor Opery, płacił raz należność czyścicielowi obuwia: ten mu odpowiedział nieprzyjmując zapłaty: *że nigdy niebierze pieniędzy od swych* Towarzyszów. *Jakto*, zapyta Chassé zdziwiony?.. . *Bo i ja także należę do opery*.... odpowié drugi.... *Ja często odgrywam role* Potworów, *tak jak pan role* Kochanków.... *Ah! daruj mi* Kolego, *że cię niepoznałem*, rzeknie Chassé, nisko mu się kłaniając.

Do Numeru dzisiejszego dołącza się Śpiéw z towarzyszeniem fortepiano, muzyka *J. Stefani*.